

## TAJEMNICA ŻŁOTEGO PINCE-NEZ

---

Gdy przeglądam trzy masywne tomy manuskryptów, w których zawarte są nasze przygody z roku 1894, muszę przyznać, że trudno mi osądzić, która z tych przygód była najciekawsza i w której sławne na całym świecie zdolności mego przyjaciela wystąpiły najwidoczniej. Odwracam kartki i znajduję tam zapiski, o wstrętnej historii rudego weterynarza i o strasznej śmierci bankiera Crosby'ego. Dalej napotykam na sprawozdanie z tragedii w Addleton i dziwną historię starodawnych angielskich kupców. Znana afera Smith–Mortimer również przypada na okres tych czasów, podobnie jak wyśledzenie i aresztowanie Hureta, mordercy z paryskich bulwarów. Czyn ten przyniósł Holmesowi, w nagrodzie własnoręczny list z podziękowaniem od prezydenta Francji i order Legii Honorowej. Każdy z tych wypadków mógłby stanowić materiał do zajmującego opowiadania, lecz według mnie żaden z nich nie zawiera tych ciekawych i zajmujących szczegółów, co wypadek w Yoxley Old Place, który łączy się nie tylko z tragiczną śmiercią młodego Willoughby Smitha, ale zawiera ponadto ciekawy rozwój wypadków, rzucający światło na pobudki tej powikłanej zbrodni.

Był to zimny i burzliwy wieczór listopadowy. Siedzieliśmy w milczeniu w pokoju. Holmes zajęty był odczytywaniem przez lupę resztek jakiegoś starego pergaminu. Ja zaś zagłębiłem się w rozprawie medycznej. Za oknem wzdłuż Baker Street szalał wiatr, uderzając chwilami w szyby kroplami deszczu.

Było to nieprzyjemne, gdy znajdując się w samym sercu Londynu, gdzie dookoła nas w promieniu dziesięciu mil ludzie zajęci są podobnie jak my pracą, odczuwało się równocześnie żywiołową potęgę sił natury, wobec których cały Londyn nie

znaczy więcej niż kupka ziemi wyrzucona przez kreta na polu. Podszedłem do okna i wyjrzałem na opustoszałą ulicę. Rzadko rozsiane latarnie rzucały migające światło na zabłocony, jezdnię i błyszczący od deszczu trotuar. Od strony Oxford Street, rozpryskując kałuże, zbliżała się samotna dorożka.

— Dobrze, Watsonie, że nie musimy dziś w nocy ruszać się z domu — rzekł Holmes odkładając lupę i zwijając pergamin. — Dosyć jak na jedno posiedzenie. To bardzo męczy wzrok. Nie ma nic bardziej zajmującego niż opowieść jakiegoś opata, który żył w drugiej połowie piętnastego wieku. Halo! Halo! Co tam się dzieje?

W poświst wiatru i szum deszczu wmieszał się odgłos kopyt końskich i zgrzyt koła ocierającego się o krawędź chodnika. Widocznie dorożka, którą przed chwilą zauważyłem, zatrzymała się przed naszym domem.

— Kogo on szuka? — zawołałem, dostrzegając wysiadającego mężczyznę.

— Kogo? Nas! On do nas przyjechał, Watsonie! A my, mój drogi, musimy wyciągnąć nasze płaszcze, szale i inne części garderoby, którą człowiek wymyślił po to, aby ochronić się przed złą pogodą. *Zaczekaj* jeszcze chwilę! Dorożka rusza, odjeżdża! Nie traćmy nadziei. Jeśliby chciał zabrać nas ze sobą, nie odsyłałby dorożki. Zejdź na dół, mój kochany, i otwórz bramę, gdyż wszyscy szanujący się obywatele leżą już dawno w łóżkach.

Gdy światło lampy wiszącej w hallu padło na przybyłego, poznałem w nim Stanleya Hopkinsa, młodego i zdolnego urzędnika tajnej policji, którego karierą Holmes żywo się interesował.

— Zastałem go? — rzucił przybyły z pośpiechem lakonicznie.

— Chodź pan na górę, drogi panie — usłyszeliśmy głos Holmesa. — Przypuszczam, że nie ma pań w ten ponury

Wieczór złych zamiarów względem nas?

Gdy detektyw wchodził po schodach, dostrzegłem, że z jego płaszcza ścieka woda. Pomogłem mu się rozebrać, a Holmes dołożył drzewa do kominka.

— No, mój drogi Hopkinsie, siadaj przy ogniu i ogrzej sobie nogi — rzekł. — Tu ma pan cygaro, a doktor Watson poda panu doskonale lekarstwo na dzisiejszą niepogodę: gorącą wodę z cytryną! Widocznie zaszło coś poważnego, skoro wybrał się pan do mnie w taką wichurę.

— Tak, panie Holmes, istotnie. Mogę pana zapewnić, że dobrze napracowałem się dzisiejszego popołudnia. Czy czytał już pan coś o wypadku w Yoxley?

— Ostatnie wiadomości, które dziś czytałem, pochodzą z piętnastego wieku.

— Gazety zamieściły tylko krótką wzmiankę, i to w dodatku fałszywą. Nic pan nie stracił nie czytając jej. Nie miałem chwili spokoju. Miejsce to leży poniżej Kentu, siedem mil od Chatham i trzy mile od najbliższej stacji kolejowej. O godzinie trzeciej piętnaście dostałem telegram, o piątej byłem już w Yoxley Old Place, przeprowadziłem dochodzenia i złapałem jeszcze ostatni pociąg do Charing Cross, skąd niezwłocznie dorożką udałem się do pana.

— Co jest panu niejasne w tej sprawie?

— Ja w ogóle niczego nie rozumiem. Jest to, śmiało mogę panu powiedzieć, najbardziej tajemnicza historia, na jaką kiedykolwiek natrafiłem; a jednak z początku wydawała się niezmiernie prosta. Brak jest jakiegokolwiek motywu. Mr Holmes, i to mnie najbardziej niepokoi. Ten człowiek został zamordowany, tego nie można zaprzeczyć, lecz nie ma żadnego powodu, dla którego by miano popełnić tę zbrodnię.

Holmes zapalił papierosa i oparł się wygodnie w fotelu.

— Proszę nam podać bliższe szczegóły — rzekł.

— Wszystko jest całkiem jasne — zaczął Stanley Hopkins

— z drugiej jednak strony nie mogę pojąć, co to wszystko znaczy. Sprawa wygląda następująco: Przed kilku laty pewien starszy jegomość, profesor Coram, kupił wiejski domek w Yoxley Old Place. Jest to chory człowiek, który połowę życia spędził w łóżku, a drugą połowę poruszając się z trudem o lasce lub też każąc ogrodnikowi obwozić się w fotelu na kółkach po swojej posiadłości. Nieliczni sąsiedzi, którzy go odwiedzają, lubią go i cieszy się wśród nich sławą uczonego człowieka. Jego służba składa się z gospodyni, niejkiej pani Marker, i pokojowej. Zuzanny Tarlton. Obie kobiety przybyły do domku razem z profesorem. Robią wrażenie dobrych i prawych charakterów. Profesor pisze jakieś dzieło naukowe; przed niespełna rokiem chciał zaangażować sekretarza. Pierwsi dwaj, których przyjął, nie nadawali się, dopiero trzeci, nazwiskiem Willoughby Smith, młody człowiek, który dopiero co ukończył studia uniwersyteckie, wydawał się być właśnie takim, jakiego potrzebował profesor. Jego czynności polegały na tym, że każdego przedpołudnia pisał pod dyktando profesora, pozostały zaś czas spędzał na wyszukiwaniu w książkach tych ustępów, które odnosiły się do pracy przypadającej na dzień następny. Ten Willoughby Smith jako młody uczeń w Uppingham, a potem jako student w Cambridge, prowadził się bez zarzutu. Widziałem jego świadectwa; od samej młodości był porządnym, spokojnym, pilnym człowiekiem, bez żadnych nałogów. Jednym słowem, nie znalazłem w nim „słabych miejsc”. I tego właśnie młodego człowieka znaleziono dziś rano nieżywego, Leżał w pracowni profesora, a okoliczności pozwalają przypuszczać, że został zamordowany.

Wiatr wył i targał okiennicami. Holmes i ja przysunęliśmy nasze fotele bliżej ognia, podczas gdy młody inspektor wolno, punkt po punkcie, opowiadał dalej:

— Zdaje się, że w całej Anglii trudno by było znaleźć dom,

w którym mieszkańcy żyliby w większym odosobnieniu i bardziej oddaleni od wpływów zewnętrznych. Całe tygodnie mijały i nikt z domu nie wychodził poza bramę ogrodu. Profesor jedynie żył dla książek i nauki, nic innego dla niego nie istniało. Młody Smith nie: miał w sąsiedztwie żadnych znajomości i żył podobnie jak jego pracodawca. Także obie kobiety nigdzie nie wychodziły. Mortimer, ogrodnik, który obwozi profesora po ogrodzie, to inwalida z wojny krymskiej, człowiek uczciwy. Nie mieszka razem ze wszystkimi, lecz w małym, trzypokojowym domku stojącym w samym końcu ogrodu. Otóż i wszyscy ludzie zamieszkujący teren Yoxley Old Place. Brama ogrodu oddalona jest od szosy Londyn–Chatham o jakie sto metrów. Brama ta zaopatrzona jest jedynie w kłamkę, tak że każdy może bez przeszkody wejść do ogrodu.

Teraz przytoczę panu zeznanie Zuzanny Tarlton, jedynej osoby, która wie coś konkretnego w tej sprawie. Było to przed południem, między godziną jedenastą a dwunastą. Zajęta była właśnie wieszaniem firanek we frontowym pokoju na pierwszym piętrze. Profesor Coram leżał jeszcze w łóżku, gdyż w czasie niepogody nie wstaje przed południem. Gospodyni miała jakąś robotę w głębi domu. Willoughby Smith znajdował się w swoim pokoju, który służył mu zarazem za sypialnię; Zuzanna słyszała, jak przeszedł przez korytarz i zeszedł na parter do pracowni leżącej bezpośrednio pod jego pokojem. Nie widziała go, lecz oświadczyła, że rozpoznała jego szybkie kroki, co do tego nie miała wątpliwości. Nie mogła tylko powiedzieć, czy zamknął za sobą drzwi pracowni. W minutę potem usłyszała okropny krzyk, straszliwy, ochrypły, dziwny i niesamowity krzyk. Nie mogła stwierdzić, czy był to głos mężczyzny, czy kobiety. Zaraz potem rozległo się ciężkie uderzenie, które wstrząsnęło domem, i zapadła cisza. Dziewczyna stała przez chwilę jak

skamieniała, potem jednak zdobywszy się na odwagę, zbiegła po schodach na dół. Drzwi do pracowni były zamknięte. Otworzyła je. Gdy weszła do pokoju, ujrzała Smitha leżącego na podłodze. Z początku nie mogła dostrzec żadnej rany, lecz gdy usiłowała go podnieść, spostrzegła krew płynącą z przebitej szyi. Rana była mała, ale głęboka. Narzędzie zbrodni leżało obok na dywanie. Za pomocą małego nożyka o kościanej rękojeści, który służył do odrywania lakowych pieczęci, przebito główną arterię w szyi nieszczęśliwego. Nożyki takie spotyka się jeszcze czasem na staromodnych sekretarzykach. Ten, którym dokonano zbrodni, jest własnością profesora i zwykle leży na jego biurku.

W pierwszej chwili dziewczyna myślała, że Smith już nie żyje, gdy jednak skropiła mu czoło wodą z karafki, Smith otworzył oczy i wyszeptał: „Profesorze — to była ona...” Może przysiąc, że słyszała te właśnie słowa. Próbował jeszcze z wysiłkiem coś powiedzieć, lecz wskazał tylko prawą ręką na sufit. Potem drgnął i osunął się na ziemię — nie żył.

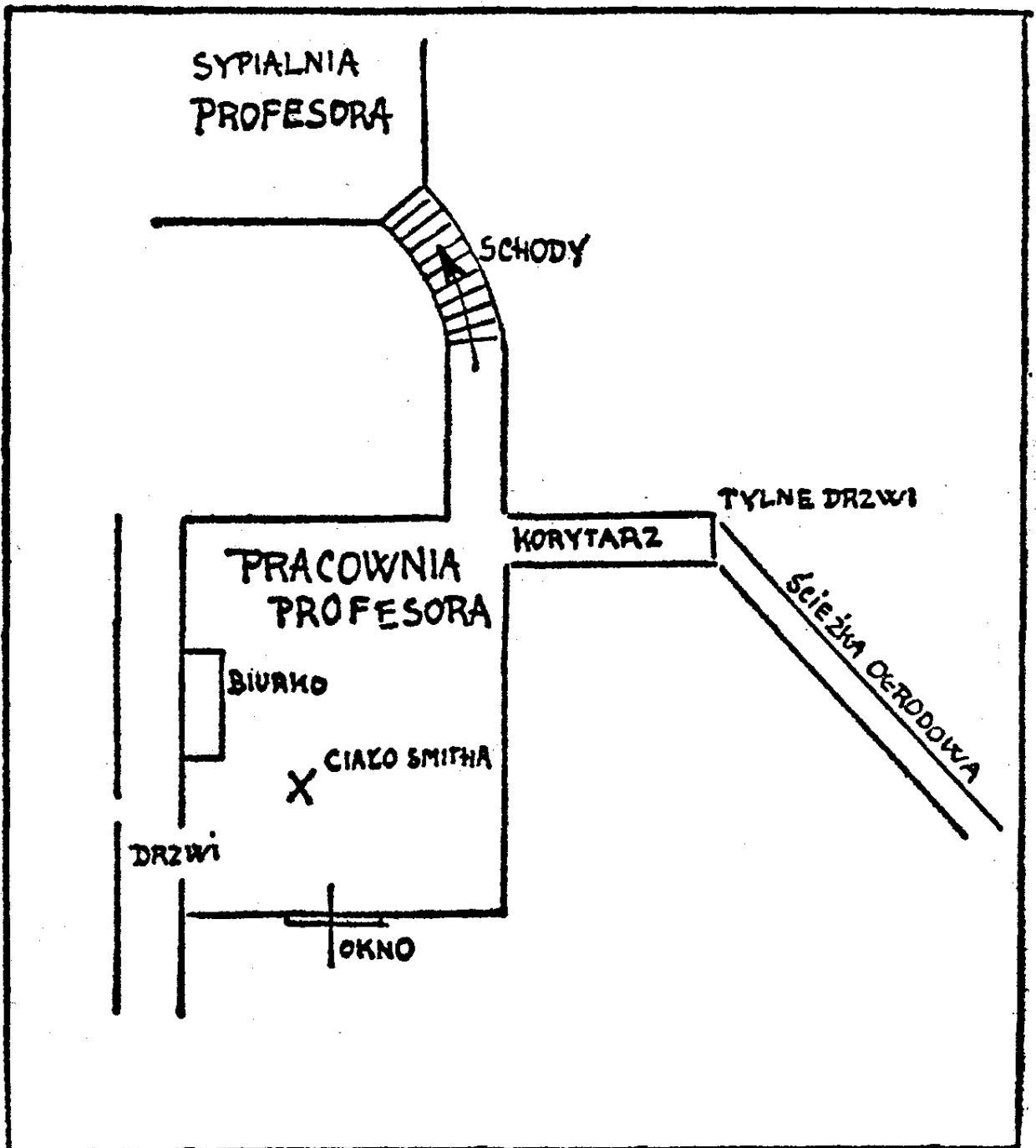
Tymczasem nadbiegła gospodyni, ujrzała całą tę scenę, lecz nie słyszała ostatnich słów konającego. Pozostawiła Zuzannę przy trupie, a sama pobiegła do pokoju profesora. Zastąpiła go siedzącego na łóżku. Był bardzo wzburzony, słyszał bowiem wszystko i przypuszczał, że musiało się coś stać. Mrs Marker może przysiąc, że profesor był jeszcze w nocnym stroju, gdyż było rzeczą niemożliwą, aby zdołał się ubrać bez pomocy ogrodnika, który miał zjawić się dopiero na godzinę dwunastą. Profesor twierdzi, że uszu jego dobiegł daleki krzyk, jednak co się potem stało, nie wie. Nie potrafi również wytłumaczyć ostatnich słów umierającego. Uważa, że mógł to być objaw zaćmienia umysłu przed zbliżającą się śmiercią. Przypuszcza, że Smith nie miał żadnych wrogów, toteż nie może nawet wyobrazić sobie, jaki był powód zbrodni. Posłał zaraz Mortimera do miejscowej policji z wiadomością o

morderstwie. Naczelnik policji zadepeszował po mnie. Przed moim przybyciem niczego nie ruszono i wydano nawet zakaz chodzenia po drodze i ścieżkach wokół domu. Była więc znakomita sposobność do zastosowania w praktyce pańskich teorii, Mr Holmes. Niczego tam naprawdę nie brakowało...

— Z wyjątkiem Sherlocka Holmesa! — przerwał mój przyjaciel z gorzkim uśmiechem. — Dobrze, ale mów pan dalej. Co pan uczynił po przybyciu na miejsce?

— Musi pan wpierw rzucić okiem na ten pobieżny szkic, który określi panu położenie pracowni profesora w stosunku do innych pomieszczeń. Może w tym znajdzie pan jakiś punkt zaczepienia. Będzie panu łatwiej zrozumieć tok mego śledztwa.

Hopkins rozłożył przed Holmesem swój plan. Wstałem i podszedłszy do mego przyjaciela, zajrzałem mu przez ramię.



— Jest, oczywiście, schematyczny i zawiera jedynie najważniejsze szczegóły. Resztę obejrzy pan na miejscu. Jeżeli, po pierwsze, przyjmiemy, że zbrodniarz przybył do domu z zewnątrz, to w jaki sposób tam wszedł? Najprawdopodobniej ścieżką ogrodową i przez tylne drzwi, od których do pracowni prowadzi mały korytarzyk. Każda inna



droga jest zbyt skomplikowana i niebezpieczna. Do ucieczki zbrodniarz musiał użyć tej samej drogi, gdyż pozostałe dwa wyjścia były dlań odcięte; jedno przez Zuzannę, która zbiegała właśnie po schodach, a drugie prowadzi do sypialni profesora. Dlatego całą moją uwagę skierowałem na ścieżkę ogrodową. Ponieważ niedawno padał deszcz, więc spodziewałem się znaleźć na niej jakieś ślady.

Moje poszukiwania wykazały jednak, że mamy do czynienia z ostrożnym i doświadczonym przestępcą. Na ścieżce nie znalazłem żadnych śladów: ani butów, ani bosych stóp. Natomiast nie ulega wątpliwości, że ktoś szedł po trawniku obok ścieżki, uniknął w ten sposób konieczności pozostawienia śladów na ścieżce. Mógł to być jedynie morderca, gdyż od rana nie przechodził tamtędy ani ogrodnik, ani też nikt z domowników, a w nocy padał deszcz.

— Chwileczkę — rzekł Holmes. — Dokąd prowadzi ta ścieżka?

— Na drogę.

— Jaka jest długa?

— Około stu metrów.

— Jednak koło bramy znalazł pan zapewne również ślady stóp.

— Niestety, nie, tam ścieżka jest brukowana.

— A na drodze?

— Też nie; tam ślady są już zatarte.

— Do licha! No dobrze, a jaki kierunek wskazywały ślady na trawniku, w kierunku domu, czy też w kierunku bramy?

— Tego nie mogłem stwierdzić. Nigdzie nie znalazłem wyraźnego śladu.

— Była to mała, czy duża stopa?

— Tego również nie można było rozpoznać.

Holmes dał głośno wyraz swemu niezadowoleniu.

— W tym czasie padał deszcz i szalała burza — powiedział.

— Trudniej teraz będzie odkryć coś tam niż na tym pergaminie... No tak, ale nic na to nie poradzę. Co uczynił pan po uświadomieniu sobie, że niczego się nie dowiedział?

— Myślę jednak, Mr Holmes, że coś odkryłem. Wiedziałem, że ktoś z zewnątrz ostrożnie wkradł się do domu. Zbadałem więc przede wszystkim korytarz. Wyłożony jest kokosowym chodnikiem, niczego więc na nim nie znalazłem. Potem poddałem badaniu pracownię. Jest to pokój dość starannie umeblowany. Głównym meblem jest biurko z dwoma szeregami szufladek i wąską, małą szafką pomiędzy nimi. Szafka ta była zamknięta, szufladki zaś otwierały się bez użycia klucza. Widocznie nigdy ich nie zamykano. Nie znalazłem też w nich niczego wartościowego. W szafce natomiast znajdowały się ważne papiery... Nie było jednak żadnych śladów wskazujących na to, że ktoś usiłował je wyjąć, a profesor zapewnił mnie, że niczego z papierów nie brakuje. Stąd wniosek, że morderstwa nie dokonano w celach rabunkowych.

Teraz muszę jeszcze powiedzieć panu o trupie tego młodego człowieka. Leżał w pobliżu biurka nieco na lewo, widać to na szkicu. Rana znajdowała się po prawej stronie i biegła od tyłu do przodu tak, że samobójstwo jest prawie wykluczone.

— O ile, oczywiście, nie upadł na nóż — zauważył Holmes.

— Tak jest. To samo i mnie przyszło na myśl. Jednak nóż znaleziono daleko od ciała, więc to przypuszczenie upada. Prócz tego trzeba, oczywiście, wziąć pod uwagę słowa umierającego. Wreszcie zaś w prawej dłoni zamordowanego znalazłem ten oto przedmiot.

Stanley Hopkins wyjął z kieszeni mały pakunek, owinięty w papier. Po rozwinięciu ukazało się naszym oczom złote pincez z dwoma kawałkami czarnego, jedwabnego sznurka, zwieszającego się z obu końców.

— Willoughby Smith miał dobry wzrok — zauważył

detektyw, wskazując na zawartość papieru. — Nie ulega wątpliwości, że należy to do mordercy.

Holmes wziął szkła do ręki i badał je z wielką uwagą i żywym zainteresowaniem. Nasadził na nos i próbował czytać, potem podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, następnie obejrzał pince-nez w pełnym świetle lampy. W końcu zaśmiał się krótko pod nosem, usiadł przy stole i napisał kilka zdań na papierze, który wręczył inspektorowi Hopkinsowi ze słowami:

— To najlepsza rada, jakiej mogę panu udzielić. Może przyda się panu na coś.

Zdziwiony detektyw odczytał głośno, co następuje:

— „Poszukuje się kobiety o dobrych manierach i wykwintnie ubranej. Posiada ona szczególnie gruby nos i blisko siebie osadzone oczy. Czoło zmarszczone, ostry wyraz twarzy, plecy prawdopodobnie skrzywione. Pewne szczegóły wskazują na to, że w ostatnich dwóch miesiącach była dwa razy u optyka. Ponieważ używa szkieł bardzo silnych, a optyków jest niewielu, zatem nietrudno będzie odnaleźć jej ślad”.

Holmes zaśmiał się widząc zdumienie Hopkinsa. Muszę się przyznać, że i ja byłem zdziwiony.

— Cała ta dedukcja jest niezwykle prosta — rzekł. — Według mnie nie ma przedmiotu bardziej nadającego się do badań niż pince-nez, i to tak specjalne pince-nez jak to. Jest własnością kobiety, to wynika z jego wykonania i ostatnich słów umierającego sekretarza. Ze złotej, kunsztownej oprawy wnoszę, że należy do kobiety o dobrych manierach, wytwornie ubranej. Kabłąki są silnie rozstawione, więc nos jej u nasady musi być bardzo gruby. Nosy tego gatunku są zazwyczaj krótkie, lecz zdarzają się wyjątki, więc przy tym twierdzeniu nie będę się zbytnio upierał. Ja sam mam wąską twarz, a jednak szkła są dla mnie ułożone za blisko. Wynika z tego, że oczy naszej damy muszą być blisko siebie osadzone.

Możesz się przekonać, Watsonie, że szkła są wklęsłe i bardzo silne. Kobieta, która przez całe życie jest tak krótkowidząca, musi nosić ślady tej ułomności na czole w postaci zmarszczek i mieć skrzywione plecy.

— Tak — odparłem. — Twoje argumenty są niezwykle jasne. Przyznaję jednak, że nie wiem, z czego wnioskujesz o dwukrotnym odwiedzeniu optyka.

Holmes wziął ponownie pince-nez do ręki.

— O ile ci wiadomo — wyjaśnił — kabłąki pokryte są pasemkami korka w celu złagodzenia ucisku na nos. Jedno pasemko jest brudne i zatkuszczone, drugie natomiast nowe. Widocznie niedawno zostało założone. Tamto zaś zostało zmienione nie dalej jak przed kilkoma miesiącami. Obydwa są takie same i wykonane identycznie, mogę więc założyć, że obie naprawy zostały wykonane w tym samym sklepie.

— Na Boga, to cudowne! — zawołał Hopkins z najwyższym podziwem. — Pomyśleć, że wszystko to miałem w rękę i nie wiedziałem o niczym! Ale w każdym razie chciałem obejść wszystkich londyńskich optyków.

— Oczywiście, mógł pan to zrobić. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?

— Nie, panie Holmes. Myślę, że pan wie teraz tyle samo co ja, a prawdopodobnie nawet więcej. Wybadaliśmy też, czy nie widziano jakiejś obcej osoby na stacji kolejowej lub na drodze. Nie widziano nikogo. Najbardziej martwi mnie brak jakiegokolwiek motywu zbrodni; już skłonny jestem przypuścić, że maczał w tym palce jakiś duch!

— Niestety, w tym kierunku nie mogę służyć panu pomocą. Przypuszczam, że chce pan, abyśmy jutro udali się tam razem?

— Tak, jeśli nie odmówi pan mojej prośbie, Mr Holmes. O godzinie szóstej rano odchodzi pociąg z Charing Cross do Chatham. W Yoxley Old Place będziemy między dziewiątą a dziesiątą.

— Wobec tego pojedziemy tym pociągiem. Pańska sprawa zawiera wiele ciekawych punktów i z chęcią rozpatrzę ją bliżej. A teraz przydałoby się kilka godzin snu, jest już blisko pierwsza. Pan może położyć się na sofie koło kominka, tu jest lampka. Jutro rano dostanie pan filiżankę kawy.

Nad ranem burza ucichła, lecz w chwili gdy wyruszyliśmy, panowało dotkliwe zimno. Ujrzyliśmy nad Tamizą wschodzące zimowe słońce, oświetlające długie, ponure kanały i baseny, które mimo woli przypominały mi nasz pościg za Andamańczykiem z pierwszych dni naszej kariery. Po długiej i uciążliwej jeździe wysiedliśmy na małej stacyjce, odległej o kilka mil od Chatham. Gdy konie zatrzymały się przed miejscową gospodą, wysiedliśmy, aby szybko zjeść śniadanie. Po czym wynajętym powozem udaliśmy się do Yoxley Old Place. Przy bramie ogrodowej spotkaliśmy policjanta.

— Czy jest coś nowego, Williamie?

— Nie, sir, nic.

— Nie widziano nikogo obcego?

— Nie, sir. Na stacji twierdzą, że wczoraj nikt obcy ani nie przyjechał ani nie odjechał.

— Czy zasięgnął już pan wiadomości w zajazdach i gospodach?

— Tak, lecz nie mieszka tam nikt, kto mógłby wchodzić w rachubę.

— Dobrze. Oto ścieżka, o której panu mówiłem. Ktokolwiek by tędy szedł, musiał pozostawić ślad. Zapewniam pana, że wczoraj nie było na niej żadnego śladu.

— Po której stronie widział pan zgniecioną trawę?

— Tutaj, na tym wąskim trawniku, oddzielającym ścieżkę od klombu kwiatowego. Teraz prawie już nic nie widać, wczoraj jednak ślady były całkiem wyraźne.

— Tak, tak, ktoś tędy szedł — powiedział Holmes, pochylając się nad trawnikiem. — Nasza dama musiała mieć lekki chód i posuwała się niezwykle ostrożnie, w przeciwnym razie zostawiłaby jakieś ślady albo na mokrym klombie, albo na ścieżce. Szła tak — ostrożnie, jakby stapała po równo zasłanym łóżku.

— Tak, działała z zimną rozwagą.

Wyraz twarzy mego przyjaciela był bardzo zagadkowy.

— Przypuszcza pan, że powracała tą samą drogą?

— Tak jest, a czy mogła powrócić inną?

— I po tym wąskim trawniku?

— Tak, Mr Holmes.

— Hm! Niezwykła zręczność, rzeczywiście nadzwyczajna! Zdaje mi się, że ta ścieżką nie powie nam już nic więcej. Idźmy dalej. Brama ogrodowa jest zazwyczaj otwarta?

— Tak.

— Nasza osoba mogła więc wejść swobodnie. Nie przybyła z zamiarem popełnienia morderstwa, wcale o nim nie myślała, w przeciwnym bowiem wypadku zaopatrzyłaby się w broń i nie użyłaby nożyka leżącego na biurku. Potem przeszła tym korytarzem, gdzie na kokosowym chodniku nie pozostawiła żadnych śladów. Następnie weszła do pracowni. Jak długo tam przebywała? Tego, niestety, nie wiemy.

— Tylko kilka minut, Mr Holmes. Zapomniałem powiedzieć panu, że Mrs Marker była tam krótko przedtem, może kwadrans, jak sama twierdzi, i sprzątała.

— Doskonale, mamy więc określony czas. Nasza dama wchodzi i co czyni? Zbliżyła się do biurka. W jakim celu? Z pewnością nie po to, aby zabrać coś z szufladek, gdyż ważne i cenne rzeczy zamknięte są na klucz. Nie, tu chodziło o coś, co mieściło się w samym biurku. Hola! Cóż to za rysa? Watsonie, zapal zapałkę. Dlaczego nie powiedział mi pan o tym, panie Hopkins?

Rysa, której się przyglądał, biegła po mosiężnym okuciu na prawo od dziurki do klucza; miała cztery cale długości i uszkodziła politurę.

— Widziałem ją, Mr Holmes, jednak koło dziurki od klucza zawsze są takie rysy.

— Ta jednak jest świeża, całkiem świeża. Proszę zwrócić uwagę, że mosiądz w tym miejscu błyszczący. Stara rysa miałaby ten sam kolor, co powierzchnia mosiądzu. Niech pan popatrzy teraz przez moją lupę. Na politurze widać również zadarcia po obu stronach rysy, podobne do bruzdy w ziemi. Czy Mrs Marker jest w domu?

Do pokoju weszła starsza kobieta o przygnębionym wyrazie twarzy.

— Czy ścierała pani wczoraj kurz z tego biurka?

— Tak, proszę pana.

— Czy zauważyła pani tę ryse?

— Nie, naprawdę nie widziałam jej.

— Jestem przekonany, że jej pani nie widziała, w przeciwnym razie bowiem byłaby pani starła zdrapaną politurę. Kto posiada klucz do tego biurka?

— Profesor nosi go na łańcuszku przy zegarku.

— Czy to zwyczajny klucz?

— Nie, proszę pana, to klucz patentowy.

— Doskonale. Może pani odejść. Teraz wiemy już nieco więcej. Posunęliśmy się trochę naprzód. Nasza nieznajoma podchodzi więc do biurka i otwiera je lub przynajmniej próbuje otworzyć. W tym momencie wchodzi Smith. Chce szybko wyjąć klucz i przy tej sposobności robi ryse. On chce ją zatrzymać. Ona chwyta pierwszy lepszy przedmiot z biurka, był nim przypadkowo nóż, i uderza nim Smitha, aby się uwolnić. Cios był śmiertelny. Sekretarz pada, a ona ucieka wykonawszy swój plan lub nie. A, jest tu i Zuzanna! Powiedz nam, czy mógł ktoś, gdy już usłyszałaś krzyk, niepostrzeżenie

uciec tamtymi drzwiami?

— Nie, sir, to było niemożliwe. Zanim zbiegłam po schodach na dół, musiałabym dojrzeć tę osobę w korytarzu,. Poza tym nie słyszałam, aby ktoś otwierał te drzwi.

— Zatem to wyjście odpada. Nieznajoma musiała więc uciekać tą samą drogą, którą przybyła. O ile wiem drugie wyjście prowadzi tylko do pokoju profesora. A może się mylę?

— Nie, sir.

— Pójdziemy więc tam i poznamy się z profesorem. Halo, Hopkins! Ten korytarz również jest wyłożony kokosowym chodnikiem, to bardzo ważne odkrycie!

— Tak? Więc co z tego?

— Nie rozumie pan, jakie to ma znaczenie dla naszej sprawy? Dobrze więc, dobrze, nie będę się przy tym upierał, może to i nie ma żadnego znaczenia... Jednak to mnie zastanawia, wydaje się dziwne... Chodź pan i przedstaw nas profesorowi.

Przeszliśmy korytarz; był tak samo długi jak ten, który prowadził do ogrodu. Na końcu znajdowało się kilka schodków, a za nimi drzwi. Nasz przewodnik zapukał i weszliśmy do pokoju profesora.

Pokój był bardzo duży. Wzdłuż ścian stały ogromne szafy wypełnione niezliczoną ilością tomów; również po kątach i na podłodze leżały porozrzucone książki, które widocznie nie znalazły pomieszczenia na półkach. Na środku pokoju stało łóżko, na którym wsparty na poduszkach, siedział właściciel domu. Nie widziałem bardziej charakterystycznej postaci! Szczupła, orla twarz zwrócona była w naszym kierunku. Spod krzaczastych brwi spoglądały na nas przenikliwe, głęboko osadzone oczy. Włosy i broda były całkiem siwe, jedynie w okolicy ust broda miała jakieś dziwne żółte plamy. Pośród



gmatwaniny siwych włosów palił się papieros, którego trzymał w ustach, a cały pokój pełen był dymu tytoniowego. Gdy podał Holmesowi rękę, zauważyłem, że pokryta była żółtymi plamami od nikotyny.

— Pali pan, Mr Holmes? — zapytał doskonałą angielszczyzną z prawie niedostrzegalnym obcym akcentem. — Proszę, weź pan papierosa. A pan? Mogę je śmiało polecić, robione są przez Jonidesa w Aleksandrii, na specjalne zamówienie. Posyła mi za każdym razem tysiąc sztuk. Niestety, muszę się przyznać, że co czternaście dni zamawiam nową przesyłkę. Źle, sir, bardzo źle; jednak taki stary człowiek jak ja musi mieć jakieś przyjemności. Tytoń i moja praca, oto wszystko, co mi jeszcze pozostało.

Holmes zapalił papierosa i ukradkiem rozglądał się po pokoju.

— Tytoń i praca, lecz teraz już tylko tytoń — wykrzyknął profesor. — Niestety! Taka fatalna przerwa! Kto by mógł przewidzieć tę katastrofę? Taki szanowany młody człowiek! Zapewniam pana, że po tych kilku miesiącach pracy świetnie się zapowiadał. Był doskonałym pomocnikiem. Co pan sądzi o tym wszystkim, panie Holmes?

— Nie mam jeszcze wyrobionego zdania.

— Byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby pan zdołał rzucić jakieś światło w te ciemności. Na takiego starego mola książkowego, chorego w dodatku, cios ten działa paraliżująco. Jestem całkowicie; tym oszołomiony. Ale dla pana, człowieka czynu, wypadki tego rodzaju są chlebem powszednim. W każdej sytuacji potrafi pan zachować równowagę ducha. Jesteśmy szczęśliwi, że mamy pana po naszej stronie.

Holmes przechadzał się po pokoju tam i z powrotem wzdłuż jednej ze ścian. Zauważyłem, że palił nadzwyczaj szybko. Widocznie smakowały mu świeże aleksandryjskie papierosy.

— Tak, sir, to dla mnie straszny cios — mówił dalej

profesor. — To jest moje *magnum opus*, ten stos papierów tam na szafce. Jest to analiza dokumentów znalezionych w koptyjskich klasztorach Syrii i Egiptu, analiza, która sięga głęboko aż do podstaw religii objawionej. Nie wiem, czy uda mi się dokończyć to dzieło, zapadam na zdrowiu, a w dodatku straciłem asystenta. Drogi panie, przecież pan pali szybciej niż ja! Holmes uśmiechnął się.

— Jestem znawcą tytoniu — odparł, biorąc z pudełka następnego papierosa, już czwartego, i zapalił go od poprzedniego. — Ponieważ pan, panie profesorze, podczas popełnienia morderstwa znajdował się w łóżku, więc nie będę pana męczył niepotrzebnymi pytaniami. Chciałbym jedynie wiedzieć, co pan sądzi o ostatnich słowach umierającego: „Profesorze — to była ona”?

Profesor potrząsnął głową.

— Zuzanna jest wiejską dziewczyną — rzekł — a pan wie, jak ograniczeni są ludzie jej pokroju. Wyobrażam sobie, że ten nieszczęśliwy mruczał coś bez związku, a ona połączyła to w zgoła bezsensowny sposób.

— Rozumiem. A pan jak sobie tłumaczy tę tragedię?

— Być może, że to nieszczęśliwy wypadek: możliwe też, mówiąc między nami, że popełnił samobójstwo. Młodzi ludzie mają jakieś tam własne skryte kłopoty, może zawód miłosny, o którym nikt nigdy nie wiedział? To przypuszczenie wydaje się bardziej prawdopodobne niż morderstwo.

— A pince-nez?

— Ach! Jestem tylko badaczem, marzycielem. Nie mam zmysłu praktycznego. Istnieją jednak rozmaite przejawy miłości. Na wszelki wypadek weź pan jeszcze papierosa. Cieszy mnie, że panu smakują. Wachlarz, rękawiczka, szkła takie jak te — kto wie, co może wydać się najdroższe człowiekowi, który zamierza popełnić samobójstwo. Może była to dla niego jakaś pamiątka, z którą nie chciał się rozstać

w godzinie śmierci? Ten pan mówił o jakiś śladach na trawniku; jednak w tym przypadku nietrudno o pomyłkę. A nóż? No tak, ale biedak mógł padając odrzucić nóż daleko od siebie! Być może, mówię jak dziecko, lecz coś mi się wydaje, że Willoughby Smith sam targnął się na swoje życie.

Holmes udał, że przychyła się do tej teorii, i począł znów jak przedtem spacerować po pokoju, paląc papierosa za papierosem.

— Niech mi pan powie, profesorze Coram — spytał w końcu — co przechowuje pan w tej szafce w biurku?

— Nic, co by mogło mieć jakąkolwiek wartość dla złodzieja. Znajdują się tam dokumenty rodzinne, listy mojej żony i dyplomy uniwersyteckie. Tu jest klucz. Może się pan sam przekonać.

Holmes wziął klucz do ręki i przyglądał mu się przez chwilę, potem zwrócił go..

— Nie, zdaje mi się, że to niepotrzebne — rzekł — wolę raczej zejść do ogrodu i pomyśleć trochę. Jest w tym wszystkim coś, co stwarza możliwość, że samobójstwo nie jest wykluczone. Proszę o wybaczenie, że pana niepokoimy, profesorze. Zapewniam pana, iż nie przeszkadzimy mu aż do obiadu. O godzinie drugiej przyjdziemy tu jeszcze raz, aby panu streścić wyniki naszych dochodzeń.

Holmes był bardzo roztargniony; przez dłuższy czas przechadzaliśmy się w milczeniu.

— Trafiłeś już na jakiś ślad? — spytałem wreszcie.

— To zależy jeszcze od papierosów, które paliłem — odparł. — Możliwe, że się mylę. Papierosy to okażą.

— Mój drogi Holmesie — zawołałem — jakże to...

— Zobaczysz. Jeżeli nie, to nic nie szkodzi. Oczywiście, moglibyśmy zejść do optyków i zrobić wywiad, ale wybrałem krótszą drogę do celu. Ach, to nasza dobra pani Marker! Nie zaszkodzi pięć minut pogawędki z nią.

Holmes umiał, jak to już kiedyś wspomniałem, pozyskiwać sobie sympatię i zaufanie kobiet. Po krótkiej chwili rozmawiał z gospodynią, jakby znał ją od lat.

— Tak, Mr Holmes, jest tak, jak pan mówi. Ma pan zupełną rację. Profesor za dużo pali. Przez cały dzień, a czasem nawet całą noc. Pewnego ranka, gdy weszłam do pokoju, to myślałam, że panuje tam londyńska mgła. Biedny pan Smith palił też dużo, jednak nie tyle, co profesor. Jego zdrowie... no tak, ale ja właściwie nie wiem, czy palenie szkodzi, czy nie.

— W każdym razie zabija apetyt — rzekł Holmes.

— Tak? Nic o tym nie wiedziałam.

— Przypuszczam, że profesor jada bardzo mało.

— Zależy kiedy.

— Założę się, że nie jadł dziś śniadania, a sądząc po ilości wypalonych dotąd papierosów, obiadu również jeść nie będzie.

— Myli się pan. Wprost przeciwnie, właśnie że dziś na śniadanie zjadł bardzo wiele, a na obiad zamówił dużo kotletów. Dziwię się sama, jak może mieć taki apetyt po tym, co wczoraj zaszło. Ja na samo wspomnienie tracę ochotę do jakiegokolwiek jedzenia. Ale są różni ludzie na świecie, profesorowi nie odebrało to, widocznie apetytu.

Całe przedpołudnie przechadzaliśmy się po ogrodzie. Stanley Hopkins udał się do wsi, uganiając się za jakąś obcą kobietą, którą poprzedniego ranka widziała na drodze wiodącej do Chatham grupa bawiących się dzieci. Co do mego przyjaciela, to wydawał się być całkowicie pozbawiony energii. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby tak ospale zabierał się do pracy. Nawet nowina, którą przyniósł Hopkins o kobiecie podobnej do opisanej przez Holmesa, bez okularów lub innego rodzaju szkieł, nie zainteresowała go zbytnio. Natomiast ożywił się bardzo, kiedy Zuzanna opowiadała przed samym obiadem o spacerze, który Smith odbył pół godziny

przed śmiercią. Ja sam, niestety, nie mogłem pojąć, dlaczego ta wiadomość jest dla Holmesa tak ważna. Nagle zerwał się z krzesła i spojrzął na zegarek.

— Druga godzina, panowie — powiedział. — Musimy iść do profesora i zdać mu sprawozdanie z naszej działalności.

Profesor kończył właśnie obiad; puste talerze wskazywały, że przewidywania gospodyni spełniły się: apetyt mu służył. Stanowił dość niesamowity widok, gdy tak siedział zwrócony ku nam bladą twarzą, okoloną postrzępionymi kosmykami siwych włosów, z wpatrującymi się w nas płonącymi oczyma. W ustach dymił nieodłączny papieros. Był już ubrany i siedział w fotelu koło kominka.

— No więc, Mr Holmes, rozwiązał już pan tę zagadkę?

Podsunał w naszym kierunku stojące na stole pudełko z papierosami. Holmes, chcąc wziąć papierosa popchnął pudełko tak, że spadło na podłogę. Przez dłuższą chwilę zbieraliśmy na kolanach porzucane papierosy. Gdyśmy się podnieśli, zauważyłem, że oczy Holmesa błyszczały, a policzki nabrały kolorów. Kryzys minął, zbliżała się walka.

— Tak — odparł — rozwiązałem.

Hopkins i ja patrzyliśmy nań ze zdziwieniem. Po twarzy profesora przemknął jakby drwiący uśmiech.

— Czyżby? W ogrodzie?

— Nie, tu.

— Tu! Kiedy?

— W tej chwili.

— Pan żartuje, Mr Holmes. Sprawa jest zbyt poważna, aby traktować ją w ten sposób.

— Profesorze Coram, każde ogniwo mego łańcucha jest dobrze wykute i wypróbowane, tak że wiem, jaką ma wytrzymałość. Nie są mi jeszcze znane pańskie pobudki i pańska rola w tej sprawie. Za kilka minut prawdopodobnie pan sam mi je wyjaśni. Chwilowo jednak ja opowiem panu,

jak to wszystko się odbywało, żeby pan zrozumiał, jakich mi potrzeba wyjaśnień.

Wczoraj w pańskiej pracowni przebywała kobieta. Przyszła z zamiarem zabrania pewnych papierów, które znajdowały się w biurku. Klucz przyniosła ze sobą. Miałem sposobność widzieć niedawno pański klucz i nie znalazłem na nim śladów, które musiałaby pozostawić uczyniona nim rysa. Pan więc nie jest współwinny, ponieważ ona przyszła, o ile się domyślam, bez pańskiej wiedzy.

Profesor wypuścił z ust chmurę dymu.

— To bardzo interesujące i pouczające — rzekł. — Czy ma pan jeszcze coś do dodania? Ponieważ poszedł pan za tą panią tak daleko, to może pan objaśni, co się z nią stało?

— Spróbuje. Pierwszy spotkał ją sekretarz. Pochwycił ją, a ona go zabiła, aby móc uciec. Cała katastrofa wynikła przypadkowo; ona nie przybyła tu, aby go zamordować. Morderca nie przychodzi bez broni. Nieprzytomna i przerażona dokonany czynem, uciekła z miejsca zbrodni. Nieszczęśliwym przypadkiem podczas szamotania się z sekretarzem zgubiła szkła, a będąc krótkowzroczną, nie widziała nic bez nich. Pobiegła przez korytarz; wydawało jej się, że jest to ten, którym przyszła, obydwa bowiem wyłożone są tym samym kokosowym chodnikiem. Gdy spostrzegła, że ucieka w fałszywym kierunku, miała już odcięty odwrót. Co uczyniła dalej? Musiała iść naprzód, nie mogła się cofnąć. Pobiegła po schodach na górę i znalazła się w pańskim pokoju, panie profesorze.

Stary profesor siedział z otwartymi oczyma i wpatrywał się w Holmesa dzikim wzrokiem. Na jego twarzy malowało się zdziwienie pomieszane z trwogą. Potem z wysiłkiem zaśmiał się i wzruszył ramionami.

— Wszystko to bardzo ładnie, panie Holmes — powiedział. — Jest jednak poważna luka w pańskim rozumowaniu. Ja sam

byłem przecież cały dzień w pokoju.

— Wiem o tym, profesorze Coram.

— I sądzi pan, że ja, leżąc w łóżku, nie zauważyłbym, że ktoś wchodzi do pokoju?

— Tego nie powiedziałem. Pan to zauważył. Mówił pan nawet z nią. Pan ją zna i chce jej pomóc w ucieczce.

Profesor zaczął się piskliwie śmiać. Potem zerwał się z wściekłością.

— Pan oszalał! — krzyknął. — Gadasz pan jak obłąkany. Ja miałbym pomóc jej w ucieczce? Więc gdzież ona teraz jest?

— Tam — odparł Holmes i wskazał na wysoką szafę stojącą w kącie.

Ujrzałem, jak starzec załamał się, przez twarz przebiegło mu kurczowe drżenie i opadł w fotelu. W tej samej chwili szafa, na którą wskazał Holmes, obróciła się i do pokoju wpadła kobieta.

— Ma pan rację! — zawołała dziwnym, obcym głosem. — Ma pan rację! Jestem tutaj!

Była brunatna od kurzu i pajęczyn, ściągniętych ze ścian swojej kryjówki. Również twarz miała pobrudzoną. Pomijając jednak ten fakt, dostrzegłem, że i tak nigdy nie była ładna. Jej wygląd zgadzał się całkowicie z opisem, który Holmes podał na kartce, poza tym miała wysuniętą, energiczną dolną szczękę. Przez kilka chwil mrugała oczyma, co częściowo przypisać można było jej krótkowzroczności, a częściowo nagłemu przejściu z ciemności do światła. Starła się dojrzeć, ilu nas jest i kim jesteśmy.

A jednak wbrew temu niekorzystnemu wyglądowi, swoim sposobem poruszania się, uniesieniem głowy i wyrazem twarzy zdradzała szlachetność i dumę, co zmuszało do szacunku i podziwu. Hopkins położył rękę na jej ramieniu i oświadczył, że jest aresztowana; ona jednak ruchem pełnym godności odsunęła go na bok. Profesor leżał w fotelu, twarz

jego drgała, a oczy były nieruchomo wpatrzone w kobietę.

— Tak, sir, jestem do pana dyspozycji — rzekła. — Słyszałam wszystko i wiem, że odkrył pan prawdę. Przyznaję się do wszystkiego. To ja zamordowałam tego młodzieńca. Słusznie wywnioskował pan, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nie wiem, w jaki sposób i kiedy ten nóż znalazł się w moim ręku, byłam zrozpaczona i chwyciłam pierwszy lepszy przedmiot leżący na stole, nie wiedząc nawet, że jest to nóż. Potem uderzyłam. Chciałam, aby mnie puścił. Taka jest prawda, nie kłamię.

— Madame — rzekł Holmes — nie wątpię w to. Ale cóż to? Wydaje mi się, że pani mdleje...

Twarcz jej rzeczywiście zbladła śmiertelnie. Usiadła na brzegu łóżka i mówiła dalej:

— Mam mało czasu, ale chcę, aby pan znał całą prawdę. Jestem żoną tego człowieka. On nie jest Anglikiem. Jest Rosjaninem. Jego prawdziwe nazwisko przemilczę.

Teraz dopiero starzec ocknął się.

— Niech cię Bóg błogosławi, Anno! — wykrzyknął. — Niech cię Bóg błogosławi!

Spojrzała na niego z najwyższą pogardą.

— Dlaczego tak kurczowo trzymasz się życia, Sergiuszu? — zapytała. — Uczyniło ono tylu ludzi nieszczęśliwymi, a czy tobie coś dało? Jednak nie jest moją rzeczą nakłaniać cię do położenia kresu takiemu życiu i tak przyjdzie na to czas. Od chwili przekroczenia tego przekłętego progu dosyć już mam na sumieniu. Muszę jednak powiedzieć wszystko, zanim będzie za późno. — Mówiłam już panom — zwróciła się do nas — że jestem żoną tego człowieka. Gdyśmy się pobrali, on miał lat pięćdziesiąt, a ja byłam głupią dwudziestoletnią dziewczyną. Było to w pewnym rosyjskim mieście uniwersyteckim, nazwy woleę nie wymieniać.

— Bóg cię wynagrodzi, Anno — wyszeptał starzec.



— Byliśmy reformatorami, rewolucjonistami, nihilistami. Pan rozumie; on, ja i wielu innych... Potem rozpoczął się okres prześladowań; zastrzelono oficera policji, dokonano licznych aresztowań. Policja potrzebowała świadka. Aby uratować życie i otrzymać wyznaczoną nagrodę, mój mąż nie wahał się zdradzić mnie i mych towarzyszy. Zostaliśmy wszyscy aresztowani. Wielu poszło na szubienicę, reszta na Sybir. Wśród tych ostatnich znajdowałam się i ja, mąż mój wyjechał do Anglii i żył tu z pieniędzy otrzymanych za zdradę. Wie dobrze, że gdyby nasz związek dowiedział się o miejscu jego pobytu, nie żyłby dłużej niż tydzień.

Starzec wyciągnął drżącą rękę po papierosa.

— Jestem w twoich rękach, Anno — rzekł. — Zawsze byłaś dobra dla mnie...

— Nie opowiedziałam jeszcze o jego najnikczemniejszym postępku — mówiła dalej, nie zważając na jego słowa. — Pomędzy członkami naszego stowarzyszenia znajdował się jeden, który szczególnie był dla mnie bliski. Był szlachetny, bezinteresowny, pełen miłości — jednym słowem przeciwieństwo mego męża. Brzydził się gwałtem. Wszyscy byliśmy winni — o ile w takich sprawach o winie w ogóle można mówić — lecz on jeden był czysty jak kryształ. W listach często ostrzegał nas. Na podstawie tych listów mógłby zostać uwolniony. Również i mój dziennik, w którym opisywałam moje uczucie ku niemu, jak i poglądy; mógł służyć za dowód jego niewinności. Mój mąż znalazł ten dziennik i listy, przywłaszczył je sobie i ukrył. Całym jego pragnieniem było zniszczyć tego człowieka i zaprowadzić na szubienicę. Nie udało mu się to jednak w całej pełni, Aleksy został jedynie skazany na ciężkie roboty i zesłany na Sybir. Przebywa tam do dziś. Uprzytomnij to sobie, ty łotrze, ty nędzniku! A. teraz... teraz, w tej chwili, musi Aleksy, człowiek, którego imienia nie jesteś godny wymówić,

pracować jako niewolnik. Mimo to pozwalałam ci żyć, choć całe twoje życie jest w moich rękach.

— Byłaś zawsze szlachetną kobietą, Anno — rzekł starzec, zaciągając się dymem z papierosa.

Próbowała wstać, ale z tłumionym okrzykiem bólu opadła z powrotem na łóżko.

— Muszę kończyć — rzekła. Gdy wyszłam na wolność, postanowiłam odzyskać mój pamiętnik i listy. Wiedziałam, że jeśli prześlę je do Rosji, uzyskam zwolnienie mego przyjaciela. Wiedziałam, że mój mąż wyjechał do Anglii. Po miesiącach długotrwałych poszukiwań odkryłam miejsce jego pobytu. Wiedziałam, że dziennik znajduje się jeszcze w jego posiadaniu, gdyż podczas mego pobytu na Syberii napisał list, w którym czynił mi wyrzuty, przytaczając niektóre urywki z mojego dziennika. Zbyt dobrze znałam jego mściwą naturę, abym mogła przypuszczać, że mi go zwróci. Musiałam zdobyć go sama! W tym celu zaangażowałam prywatnego detektywa, to był, Sergiuszu, twój drugi sekretarz. Ten, który cię tak prędko opuścił. Wybadał, że papiery znajdują się w szafce, i sporządził odcisk klucza. Dalej nie chciał się posuwać. Potem narysował mi plan domu i objaśnił, że przed południem w pracowni nie ma nikogo, że sekretarz wtedy jest u ciebie. Uzbroiłam się więc w odwagę i postanowiłam sama zdobyć papiery. Udało, mi się, ale za jaką cenę!

Właśnie wyjęłam papiery i chciałam już zamknąć szafkę, gdy nadszedł ten biedny młody człowiek. Spotkałam go już dziś rano na drodze i spytałam, gdzie mieszka profesor Coram — nie wiedziałam wówczas, że pracował u niego jako sekretarz.

— Tak jest! Zgadza się! — wtrącił Holmes. — Sekretarz powróciwszy opowiedział profesorowi, że spotkał jakąś kobietę. Potem w ostatniej chwili życia chciał powiedzieć, że to była ona, ta właśnie, którą spotkał i o której dopiero co

mówił z profesorem.

— Proszę mi nie przerywać, muszę dokończyć — rzekła rozkazującym tonem, podczas gdy jej twarz wykrzywiła się z bólu. — Gdy upadł na ziemię, wybiegłam z pokoju, wybierając jednak złe drzwi, i znalazłam się w innym korytarzu. W pierwszej chwili nie zorientowałam się i idąc dalej, znalazłam się w pokoju mego męża. Powiedział, że wyda mnie w ręce policji. Zwróciłam uwagę, że życie jego znajduje się w moim ręku; jeżeli on odda mnie w ręce policji, to ja zawiadomię związek o miejscu jego pobytu. Nie chodziło mi o moje życie, lecz o życie mego przyjaciela. Chciałam wypełnić względem niego mój obowiązek. Mój mąż wiedział, że dotrzymam słowa i że jego los jest ściśle związany z moim. Cokolwiek się stanie, musiał na razie ukryć mnie. Otworzył kryjówkę za szafą — pozostałość z dawnych czasów — i ukrył mnie tam. Dzielił się ze mną jedzeniem. Umówiliśmy się, że w nocy, gdy policja opuści dom, odejdę i więcej nie powrócę. Pan jednak pokrzyżował nasze plany.

Wyszarpnęła mały pakiecik, który miała ukryty na piersiach.

— Tu są te papiery, które uratują Aleksego. Powierzam je pańskiemu honorowi, i pańskiej uczciwości, Niech je pan weźmie i odda w ambasadzie rosyjskiej... Spełniłam mój obowiązek, a teraz...

— Trzymajcie ją! — krzyknął Holmes i skoczył w jej kierunku, wrywając z ręki małą flaszeczkę.

— Za późno... — wyszeptała opadając na łóżko. — Za późno! Zażyłam truciznę już przedtem, zanim wyszłam z kryjówki... W głowie mi szumi! Odchodzę. Proszę nie zapomnieć o listach...

— Prosty wypadek, a jednak pod pewnymi względami pouczający — zauważył Holmes, gdyśmy wracali do miasta. — Wszystko, od samego początku, obracało się wokół tego

pince–nez. Gdyby umierający nie chwycił go, to być może, że nigdy nie wyświetlilibyśmy tajemnicy. To był szczęśliwy przypadek. Było to dla mnie całkiem jasne, że osoba o tak słabym wzroku, bez szkieł jest całkowicie bezradna. Gdy oświadczone mi, że powróciła tą samą drogą, uznałem to za niemożliwe; musiałyby przecież, idąc bez pince–nez, stąpnąć choć raz na ścieżkę, lub o nią zawadzić.

Trawnik byłby wówczas dla niej zbyt wąski. Nieprawdopodobieństwem było, aby nosiła ze sobą drugą parę szkieł. Biorąc to za podstawę, mogłem przyjąć, że znajduje się nadal w domu. Spostrzegłszy podobieństwo obu korytarzy, byłem pewny, że musiała się omylić! Jeżeli pomyliła się i poszła przez fałszywy korytarz, to musiała znaleźć się w pokoju profesora. Innej drogi nie było. To wzmogło moją czujność. Począłem szukać dowodów, które by potwierdziły moje przypuszczenie, i rozglądałem się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Dywan przytwierdzony był do podłogi na stałe, tak że zaniechałem przypuszczeń o drzwiach w podłodze. Natomiast schowek mógł się znajdować poza szafami. O ile panom wiadomo, takie schowki znajdują się czasem w starych bibliotekach. Zauważyłem, że wszędzie na podłodze poukładane są stosy książek, jedynie przed jedną z szaf było wolne miejsce. Tam więc musiało znajdować się jakieś wejście. Nie zauważyłem jednak żadnych śladów. Dywan w tym miejscu posiadał kolor ciemnobrązowy, co doskonale nadawało się do mojego eksperymentu. Postanowiłem zatem dokonać pewnej próby; paliłem jednego papierosa za drugim, a popiół strząsałem przed ową szafą. Był to prosty, lecz doskonały w efekcie podstęp. Potem zeszliśmy na dół i wybadawszy w twojej obecności, Watsonie, gospodynię, ustaliłem, że zwiększyła się ilość zjadanych potraw przez profesora. To było do przewidzenia, musiał bowiem żywić o jedną osobę więcej. Następnie wróciliśmy na

góre i tu przez zrzucenie pudełka stworzyłem sposobność dokładnego zbadania powierzchni dywanu. Ślady pozostawione na popiele wskazały mi, że ktoś wychodził z kryjówki w czasie naszej nieobecności.

— No, Hopkins, jesteśmy już w Charing Cross. Gratuluję panu wspaniałego sukcesu. Zapewne udaje się pan teraz do swojej głównej kwatery? Myślę, Watsonie, że my pojedziemy tymczasem do ambasady rosyjskiej.